

## Dyplomy do wymiany

Dzień, w którym kończą studia, jest z reguły dniem bardzo smutnym; "oblewanie dyplomu" zamiast być radosne i huczne, coraz częściej przypomina stypę, bo się skończyło ubezpieczenie, ulgowe przejazdy, wyrzucają z akademika.

Polska jest obecnie w światowej czołówce pod względem upowszechnienia wyższej edukacji. Popularna miara tego zjawiska, czyli liczba studentów na 10 tys. mieszkańców, lokuje nas w pierwszej dziesiątce krajów świata. Przewyższamy pod tym względem takie kraje jak Wielka Brytania, Francja, Szwajcaria. Jest to powód do dumy, ale i głębokiej zadumy, czy aby nie przesadziliśmy z tą edukacją? W naszym kraju funkcjonuje około 470 szkół wyższych, z tego niemal 340 to szkoły prywatne, tworzone głównie w latach 90. Naukę pobiera w nich około 600 tys. osób.

Tak jak szybko szkoły te powstawały, tak też pospiesznie zaczynają upadać za sprawą głębokiego nizu demograficznego z lat 90. oraz modernizacji szkół publicznych. W najbliższych latach z tych prywatnych szkół zostanie co najwyżej piąta część. Wielkim błędem było "puszczenie" po 90. roku szkolnictwa wyższego na wolny rynek. Edukacja nie jest czystym dobrem rynkowym. Wolna gra rynkowa w sferze edukacji jest na dłuższą metę bardzo szkodliwa. Oczywiście "niewidzialna ręka rynku" dostosuje popyt do podaży (i odwrotnie), ale potrwa to wiele lat, a w tym czasie będzie dużo ofiar.

W większości przypadków szkoły te zakładano z motywów czysto komercyjnych. Popyt na kształcenie akademickie był ogromny. W wieku studenckim znalazły się miliony młodych ludzi urodzonych w drugiej połowie lat 70. i w latach 80., okresie najwyższego w historii Polski wyżu demograficznego. Fatalne reformy w szkolnictwie średnim sprawiły, że dla wielu absolwentów liceów alternatywa wyglądała następująco: albo bezrobocie albo szkoła wyższa. Sprawę komplikowała dodatkowo sytuacja na rynku pracy wywołana prywatyzacją państwowych przedsiębiorstw i idącym za tym wysokim bezrobociem.

W tej sytuacji niemal połowa absolwentów poszła do szkół wyższych, które stały się przechowalnią bezrobotnych. A maturzyści podejmowali takie studia, jakie im oferowały szkoły. Były to zazwyczaj studia z takimi modnymi specjalizacjami, jak: zarządzanie, marketing, politologia, stosunki międzynarodowe. Niemodnymi stały się natomiast studia techniczne i rolnicze, spadł nawet popyt na studia medyczne. Winę za to ponoszą też ograniczenia nauczania matematyki, fizyki czy chemii w liceach, co przełożyło się na niskie zainteresowanie studiami ścisłymi, a ostatecznie na wysoki deficyt specjalistów z tych dziedzin.

I oto mamy obecnie, na początku drugiej dekady XXI wieku, efekt dwudziestoletniego działania "niewidzialnej ręki rynku". Utworzyła się kilkusettyśięcna nadwyżka wykwalifikowanej "siły roboczej". Równocześnie w wielu dziedzinach gospodarki niezaspokojony jest popyt na pracowników kwalifikowanych. Brakuje dziesiątki tysięcy inżynierów i setek tysięcy techników i wykwalifikowanych robotników.

Sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Rynek jest ekonomicznie racjonalny w długim okresie, ale równocześnie okrutny, bezwzględny w czasie krótkim. Z wielkim przygnębieniem czyta się informacje o dramatycznej sytuacji absolwentów szkół wyższych. Młodzi, aktywni, ambitni ludzie mówią z goryczą o sobie: "jesteśmy śmieciami" "pokoleniem śmieciowym". Zgłaszają się masowo do firm z prośbą o jakąkolwiek pracę, nawet za darmo, tylko po to, by w CV zapisać, że gdzieś pracowali, co później poprawiałoby ich szansę na uzyskanie zatrudnienia. I z reguły spotykają się z odmową, szczególnie ci po studiach humanistycznych. A są ich setki tysięcy. Czują się rzeczywiście "oszukanymi" i, co gorsza, większość z nich takimi może być jeszcze raz - pod koniec życia. Bo jakież oni będą mieć za 40 lat emerytury?

## Dyplomy do wymiany

Czesław Bywalec 2012-01-19, „Gazeta Wyborcza”

Dzień, w którym kończą studia, jest z reguły dniem bardzo smutnym; "oblewanie dyplomu" miałoby być - jak niegdyś - radosne i huczne, coraz częściej przypomina stypę, bo się skończyło ubezpieczenie, ulgowe przejazdy, wyrzucają z akademika, a nie ma dokąd pójść

Polska jest obecnie w światowej czołówce pod względem upowszechnienia wyższej edukacji. Popularna miara tego zjawiska, czyli liczba studentów na 10 tys. mieszkańców, lokuje nas w pierwszej dziesiątce krajów świata. Znacząco przewyższamy pod tym względem m.in. takie kraje jak Wielka Brytania, Francja, Japonia, Włochy, Holandia, Szwajcaria czy Niemcy. Jest to na pewno powód do dumy, ale i głębokiej zadumy, czy aby nie przesadziliśmy z tą edukacją, czy nie powstała swoista "bańka edukacyjna" i nie został przekroczony jakiś próg racjonalności?

Obecnie w naszym kraju funkcjonuje około 470 szkół wyższych (np. w Niemczech jest ich ok. 410), z tego niemal 340 to szkoły niepubliczne, popularnie zwane prywatnymi, tworzone głównie w latach 90. Powstawały, jak grzyby po ciepłym deszczu. Gwoli ścisłości, pomimo dużej liczby uczelni niepublicznych naukę pobiera w nich około 600 tys. osób, czyli 30 proc. ogółu studiujących w naszym kraju.

Tak jak szybko szkoły te powstawały, tak też pospiesznie zaczynają upadać, a staje się tak za sprawą głębokiego niżu demograficznego z lat 90. oraz dynamicznego rozwoju i modernizacji szkół publicznych. W najbliższych latach z tych niepublicznych 340 szkół zostanie co najwyżej piąta część, a w dłuższej perspektywie może uchwycić się i okrzepnie kilkanaście.

Wbrew pozorom, wielkim błędem było "puszczenie" po 90. roku szkolnictwa wyższego na wolny rynek. Co jak co, ale edukacja nie jest czystym dobrem rynkowym, jest w niej dużo elementów właściwych dobru publicznemu. Wolna gra rynkowa w sferze edukacji - bez względu na jej stopień - jest na dłuższą metę bardzo szkodliwa. Oczywiście "niewidzialna ręka rynku" dostosuje popyt do podaży (i odwrotnie), ale potrwa to wiele lat, a w tym czasie będzie dużo ofiar zarówno po popytowej, jak i podażowej stronie tegoż rynku.

Całkowita niemal swoboda na rynku edukacji akademickiej sprawiła, że owszem - szybko powstawały, i zazwyczaj bez finansowego udziału państwa, szkoły wyższe. Były to jednakże szkoły o specyficznym profilu, tj. kształcające głównie w dyscyplinach społecznych i ekonomicznych. Decydowały o tym przede wszystkim niskie koszty kształcenia. W większości przypadków szkoły te zakładano z motywów czysto komercyjnych, oczywiście ubranych w nośne hasła społeczne. Właścicielom, ukrytym na ogół pod przyjaznymi nazwami spółek lub fundacji, wystarczyło znaleźć odpowiednie lokale, zatrudnić na drugich (lub dalszych) etatach jakichś utytułowanych nauczycieli akademickich (najtańsi emeryci), nauczycieli szkół średnich, no i - wcale nierzadko - własną rodzinę. Popyt na kształcenie akademickie był przecież ogromny. W wieku studenckim znalazły się miliony młodych ludzi urodzonych w drugiej połowie lat 70. i w latach 80., okresie najwyższego w historii Polski wyżu demograficznego. W dodatku fatalne, przeprowadzane niemal z jakobińską furją reformy w szkolnictwie średnim (według zasady: wszystko za "komuny" było złe, a więc trzeba to zmienić), a głównie nadmierna redukcja zasadniczego i średniego szkolnictwa zawodowego, sprawiły, że dla dużego odsetka absolwentów liceów i techników alternatywa wyglądała następująco: albo bezrobocie albo szkoła wyższa. Sprawę komplikowała dodatkowo sytuacja na rynku pracy wywołana głównie prywatyzacją dużej liczby państwowych przedsiębiorstw i idącymi za tym masowymi redukcjami zatrudnienia, czyli wysokim bezrobociem.

W tej mocno przymusowej sytuacji niemal połowa absolwentów szkół średnich poszła do szkół

wyższych, które - pełniąc funkcje edukacyjne - stały się równocześnie przechowalniami bezrobotnych i okresowo łagodziły sytuację na rynku pracy. A maturzyści podejmowali takie studia, jakie im oferowały szkoły, szczególnie te nowo powstałe - niepubliczne, uruchamiane często w ich bliskim otoczeniu. Były to zazwyczaj studia humanistyczno-ekonomiczne, z takimi - jak na lata 90. - modnymi specjalizacjami, jak: zarządzanie, marketing, politologia, stosunki międzynarodowe, studia europejskie, socjologia, pedagogika, dziennikarstwo, turystyka itp. Niemodnymi stały się natomiast studia techniczne i rolnicze - wiele uczelni o takim profilu miało niedobory studentów, spadł nawet popyt na studia medyczne. Winę za to ponoszą też - wcześniej wspomniane - reformy programowe w szkolnictwie średnim, a szczególnie ograniczenia nauczania matematyki, fizyki czy chemii, co pośrednio przełożyło się na niskie zainteresowanie studiami ścisłymi oraz techniczno-przyrodniczymi, a ostatecznie na wysoki deficyt specjalistów z tych dziedzin.

I oto mamy obecnie, na początku drugiej dekady XXI wieku, efekt dwudziestoletniego działania "niewidzialnej ręki rynku", czyli wolnej gry popytu i podaży na rynku pracy. Utworzyła się na nim kilkuset tysięcy nadpodaż wykwalifikowanej "siły roboczej" (bo z dyplomami szkół wyższych). Równocześnie w wielu dziedzinach gospodarki niezaspokojony jest popyt na pracowników kwalifikowanych, co wręcz staje się ich barierą rozwojową. Brakuje dziesiątki tysięcy inżynierów i setek tysięcy techników i wykwalifikowanych robotników.

Sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Rynek jest ekonomicznie racjonalny w długim okresie, ale równocześnie okrutny, bezwzględny w czasie krótkim. I tę bezwzględność rynku przychodzi nam - a dokładniej młodemu polskiemu pokoleniu - doświadczać na własnej skórze. Z wielkim przygnębieniem czyta się informacje o dramatycznej sytuacji młodych ludzi - studentów i świeżych absolwentów szkół wyższych. Jako nauczyciel akademicki coraz częściej słyszę, jak młodzi, aktywni, ambitni ludzie mówią z goryczą o sobie: "jesteśmy (będziemy) śmieciami!" "pokoleniem śmieciowym" (terminy pochodne od "śmieciowych umów o pracę"), "odrzuconymi", "wykluczonymi" itp. Jako osoby kończące studia zgłaszają się masowo do firm z prośbą o jakąkolwiek pracę, nawet za darmo, tylko po to, by w CV zapisać, że gdzieś pracowali, coś zaliczyli, co później poprawiałoby ich szansę na uzyskanie zatrudnienia. I z reguły spotykają się z odmową, szczególnie ci po studiach humanistycznych. A są ich setki tysięcy. Czują się rzeczywiście "wykluczonymi", "oszukanymi" i, co gorsza, większość z nich takimi może być jeszcze raz - pod koniec życia. Bo jakież oni będą mieć za 40 lat emerytury? Groszowe, gdyż dziś nie płacą składek emerytalno-rentowych, pracodawcy narzucają takie warunki pracy i płacy, by składki te były tylko na poziomie minimalnym - dopuszczalnym przez prawo, lub nie było ich wcale. Dzień, w którym kończą studia, jest z reguły dniem bardzo smutnym; "oblewanie dyplomu" miałoby być - jak niegdyś - radością i *hucznie, coraz* częściej przypomina stypę, bo się skończyło ubezpieczenie, ulgowe przejazdy, wyrzucają z akademika, a nie ma dokąd pójść, nawet w poradni lekarskiej nie przyjmą ani leku refundowanego nie wypiszą. Co zatem robić, tym bardziej że sytuacja będzie się jeszcze pogarszać? Próba korekty szkolnictwa wyższego (wyrażona m.in. w ustawie "Prawo o szkolnictwie wyższym" obowiązującej od października 2011) i dostosowania go do potrzeb rynku pracy przeniesie poprawę, ale dopiero za kilka lat. Sytuację poprawi też demograficzny przełom wieków, ale za kilkanaście lat. Zapowiadane przedłużanie wieku aktywności zawodowej oznaczać będzie również mniejszy popyt na nowych pracowników.

Wbrew pozorom w najbliższych latach nie da się istotnie poprawić sytuacji, przyjmując w dodatku optymistyczne założenie, że naszej gospodarki nie dotknie głębsza recesja. Realnie rzecz biorąc, obecnie podstawowym działaniem ze strony władzy publicznej byłoby rozwijanie systemu szkoleń i rekwalifikacji zawodowej młodych absolwentów wraz z zapewnieniem im na ten czas elementarnej osłony socjalnej (składki emerytalno-rentowe i ubezpieczenia zdrowotne). Brzmi to może przewrotnie, ale to nie szyderstwo, to naprawdę poważna propozycja. Tak się zresztą już dzieje. Wielu młodych ludzi odkłada na półki swoje dyplomy magisterskie i udaje się na kursy malarstwa, stolarstwa, hydraulików, kasjerów, kelnerów, sprzedawców agentów ubezpieczeniowych itp. I dopiero z dyplomami takich kursów pukają do drzwi pracodawców i częściej są one im otwierane.

2

## **Studenci dla "Gazety": o nauce praktycznych umiejętności na uczelniach nie ma mowy**

*- Polskie uczelnie to fabryki bezrobotnych - powiedział Andrzej Klesyk prezes PZU SA. Z jego opinią, choć surową, zgadzają się sami studenci. Zwłaszcza kierunków humanistycznych. Co z polskimi uczelniami jest nie tak?*

Pracodawcy bezlitośnie rozprawiają się ze skutecznością kształcenia. Według nich uczelnie wyższe nie dają studentom umiejętności potrzebnych na rynku pracy. Co gorsza, tezę tę potwierdzają w rozmowie z nami sami studenci.

Kamil Kamiński, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego (licencjat ze stosunków międzynarodowych) i student Warszawskiego (magisterium na tym samym kierunku) przyznaje, że surowa ocena wystawiona przez pracodawców jest w pełni uzasadniona: - Na pewno studia nie dały mi żadnych umiejętności, które poprawiłyby moją sytuację na rynku pracy. Muszę polegać na cechach wrodzonych i wiedzy, którą sam zdobyłem. Nie pomagają też obowiązkowe staże. - Mogę odbyć praktyki gdziekolwiek i robić dosłownie cokolwiek, np. parzyć kawę. Liczy się tylko dostarczenie odpowiedniego kwitka. Był stażystą m.in. w jednym z wrocławskich urzędów. Jak to ocenia? - Nie sądzę, żebym kiedykolwiek jeszcze marnował czas na podobne praktyki - komentuje krótko.

Nie najlepiej sytuację ocenia też Maciek Markowski, student politologii, z Katowic, dorywczo pracownik agencji reklamowej. - Kiedy patrzę na to, jak łatwo jest prześlizgnąć się na kolejny semestr, nawet renomowanej uczelni, to niestety muszę się zgodzić z negatywnymi opiniami - mówi i dodaje, że o nauce praktycznych umiejętności na studiach nie ma mowy. Konkretnych umiejętności musiał szukać na własną rękę, poza uczelnią - uczestniczył w szkoleniach adresowanych m.in. do młodych biznesmenów czy dziennikarzy. Jego zdaniem studentom kierunków humanistycznych brak także umiejętności, które chętnie przypisują im różni specjaliści od rynku pracy. - Już na pierwszej rozmowie kwalifikacyjnej wychodzą straszne braki - niektórzy nie potrafią się zwięźle zaprezentować, nie umieją rozmawiać, nie znają swojej wartości - tłumaczy.

Nie wszyscy jednak winią uczelnie. - Studenci zapisują się na te przedmioty, które łatwiej zaliczyć, a nie te, które mogą się przydać w przyszłości - wyjaśnia nam Łukasz, 23-letni student informatyki. Przyznaje jednak, że jest w lepszej sytuacji niż np. absolwenci kierunków humanistycznych, bo wiedza, którą zdobył na studiach, jest potrzebna na rynku pracy. W przyszłości to właśnie w branży informatycznej będzie najwięcej etatów. Łukasz jednak przekonuje, że problemem pozostałych studentów jest fakt, że po prostu "idą na łatwiznę". - Nie chce im się myśleć, uczą się na pamięć, a gdy trzeba z wiedzy zrobić praktyczny użytek, okazuje się, że tego nie potrafią.

Nasi rozmówcy przekonują, że polskie szkolnictwo wyższe można stosunkowo łatwo uleczyć. Najczęściej wymieniana recepta? Odpowiednia dawka zajęć praktycznych. - Powinno być więcej warsztatów, nie z kadrą profesorską a ze szkoleniowcami - mówi Maciek Markowski. Kamil Kamiński dodaje, że inaczej powinny też wyglądać staże studenckie. - Warto rzucać studentów na głębszą wodę, nie tylko ograniczać ich do wyszukiwania informacji, wysyłania maili i parzenia kawy. Polskie szkolnictwo wyższe jest skostniałe. Chcielibyśmy, żeby było więcej zajęć praktycznych, staży, praktyk. Żebyśmy uczyli się rozwiązywać realne, a nie podręcznikowe problemy. Dzisiaj szansę na zdobycie takich umiejętności mają te osoby, które łączą naukę z pracą.

## Studenci dla "Gazety": o nauce praktycznych umiejętności na uczelniach nie ma mowy

Bartosz Sendrowicz, Marta Piątkowska 2012-04-23, „Gazeta Wyborcza”

- Polskie uczelnie to fabryki bezrobotnych - powiedział "Gazecie" Andrzej Klesyk prezes PZU SA. Z jego opinią, choć surową, zgadzają się sami studenci. Zwłaszcza kierunków humanistycznych. Co z polskimi uczelniami jest nie tak?

W poniedziałkowej "Gazecie Wyborczej" pracodawcy bezlitośnie rozprawiają się ze skutecznością kształcenia. Oprócz Klesyka umiejętności absolwentów polskich uczelni komentuje m.in. Henryk Orfinger, współwłaściciel Laboratorium Kosmetycznego "Dr Irena Eris". Według nich uczelnie wyższe nie dają studentom umiejętności potrzebnych na rynku pracy. Co gorsza, tezę tę potwierdzają w rozmowie z nami sami studenci.

Kamil Kamiński, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego (licencjat ze stosunków międzynarodowych) i student Warszawskiego (magisterium na tym samym kierunku) przyznaje, że surowa ocena wystawiona przez pracodawców jest w pełni uzasadniona: - Na pewno studia nie dały mi żadnych umiejętności, które poprawiłyby moją sytuację na rynku pracy. Muszę polegać na cechach wrodzonych i wiedzy, którą sam zdobyłem - tłumaczy. Nie pomagają też obowiązkowe staże. - Mogę odbyć praktyki gdziekolwiek i robić dosłownie cokolwiek, np. parzyć kawę. Liczy się tylko dostarczenie odpowiedniego kwitka - wzrusza ramionami. Był stażystą m.in. w jednym z wrocławskich urzędów. Jak to ocenia? - Nie sądzę, żebym kiedykolwiek jeszcze marnował czas na podobne praktyki - komentuje krótko.

Nie najlepiej sytuację ocenia też Maciek Markowski, student politologii, z Katowic, dorywczo pracownik agencji reklamowej. - Kiedy patrzę na to, jak łatwo jest prześlizgnąć się na kolejny semestr, nawet renomowanej uczelni, to niestety muszę się zgodzić z opiniami przedstawionymi w "Gazecie" - mówi i dodaje, że o nauce praktycznych umiejętności na studiach nie ma mowy. Konkretnych umiejętności musiał szukać na własną rękę, poza uczelnią - uczestniczył w szkoleniach z cyklu "kuźni liderów" adresowanych m.in. do młodych biznesmenów czy dziennikarzy. Jego zdaniem studentom kierunków humanistycznych brak także umiejętności miękkich, które chętnie przypisują im różni specjaliści od rynku pracy. - Już na pierwszej rozmowie kwalifikacyjnej wychodzą straszne braki w tym zakresie: niektórzy nie potrafią się zwięźle zaprezentować, nie umieją rozmawiać, nie znają swojej wartości - tłumaczy.

Nie wszyscy jednak winią uczelnie. - Studenci zapisują się na te przedmioty, które łatwiej zaliczyć, a nie te, które mogą się przydać w przyszłości - wyjaśnia nam Łukasz, 23-letni student informatyki na Politechnice Warszawskiej. Przyznaje jednak, że jest w lepszej sytuacji niż np. absolwenci kierunków humanistycznych, bo wiedza, którą zdobył na studiach, jest potrzebna na rynku pracy. Jak pokazują dane firmy Work Service, w przyszłości to właśnie w branży informatycznej będzie najwięcej wakatów. Tylko pod koniec najbliższej dekady będzie w niej nieobsadzonych aż 40 proc. wszystkich stanowisk. Łukasz jednak przekonuje, że problemem pozostałych studentów jest fakt, że po prostu "idą na łatwiznę". - Nie chce im się myśleć, uczą się terminów na pamięć, a gdy trzeba z wiedzy zrobić praktyczny użytek, okazuje się, że tego nie potrafią. Do tego często nie chcą wykorzystać możliwości, które daje im uczelnia - ocenia. W większości jednak studenci narzekają na uczelnie i - w kontekście tego, co usłyszeliśmy - trudno im się dziwić.

Nasi rozmówcy przekonują, że polskie szkolnictwo wyższe można stosunkowo łatwo uleczyć. Najczęściej wymieniana recepta? Odpowiednia dawka zajęć praktycznych. - Powinno być więcej warsztatów, nie z kadrą profesorską a ze szkoleniowcami - mówi Maciek Markowski. Kamil Kamiński dodaje, że inaczej powinny też wyglądać staże studenckie. - Warto rzucać studentów na głębszą wodę, nie tylko ograniczać ich do wyszukiwania informacji, wysyłania maili i parzenia kawy.

**Stonowane samorzady**

Łagodniej swoje uczelnie oceniają samorzady studenckie. Ich zdaniem problem nie leży jedynie w ośrodkach akademickich, tylko w przestarzałym systemie blokującym innowacyjne rozwiązania.

- Dzisiaj żaden student nie ma gwarancji, że dyplom da mu pracę - mówi Dominika Wajda, przewodnicząca samorządu studentów Politechniki Warszawskiej. - Akurat u nas jest dużo zajęć praktycznych, więc czujemy się przygotowani do wejścia na rynek. Większość moich znajomych już rozpoczęła karierę zawodową - dodaje. Wajda nie ma jednak złudzeń co do idealnego dostosowania studentów do wymogów pracodawców, choć przyczyn tego zjawiska dopatruje się w specyfice rynku, a nie błędach uczelni. - Musimy się wdrażać, bo każda firma działa na innych zasadach i kładzie nacisk na różne komplety umiejętności - tłumaczy.

Marek Szpręga, wiceprzewodniczący samorządu studenckiego Szkoły Głównej Handlowej zwraca uwagę na problem bliższy argumentom Klesyka i postulatom samych studentów - Polskie szkolnictwo wyższe jest skostniałe. Chcielibyśmy, żeby było więcej zajęć praktycznych, staży, praktyk. Żebyśmy uczyli się rozwiązywać realne, a nie podręcznikowe problemy. Dzisiaj szansę na zdobycie takich umiejętności mają te osoby, które łączą naukę z pracą - przekonuje.

Co na to uczelnie prywatne? - Jako samorząd studentów Akademii Leona Koźmińskiego nie zgadzamy się z opinią prezesa Klesyka, która wydaje się być przesadzona - oponuje Agata Kaczmarek, przewodnicząca zarządu samorządu. - Nasza uczelnia przykładą dużą wagę do praktyki, ma podpisane umowy z firmami i instytucjami, dzięki którym już studenci pierwszego roku odbywają staże i zdobywają doświadczenie.

Kaczmarek powodów niezadowolenia pracodawców dopatruje się w systemie szkolnictwa. - Dotychczas największym problemem były narzucone przez Ministerstwo wymogi w standardach kształcenia, które były niedostosowane do potrzeb pracodawców. Obecnie Krajowe Ramy Kwalifikacji umożliwiają tworzenie uczelnianych programów kształcenia, co powinno dać nam efekt zadowolenia Pracodawców i Absolwentów.

Pytanie, jak długo na ten efekt przyjdzie studentom czekać?

## Rodzice polskich Oburzonych: My też mamy dość

*Przez lata inwestowali w dzieci, często kosztem ciężkiej harówki, rozłąki i tęsknoty. Liczyli, że na starsze lata to dzieci będą podporą. A one ciągle są na ich garnuszku.*

- Chciałam, żeby córki się uczyły. Młodsza żałuje, że nie została fryzjerką. Krew mnie zalewa, ale w duchu przyznaję jej rację - mówi Elżbieta z Gliwic. Nie mam wykształcenia, kiedyś były inne czasy i nie było to takie ważne. Dlatego chciałam, by córki się uczyły. Myślałam: nie mam majątku, to chociaż dam im wykształcenie. Z dyplomem znajdą dobrą pracę i przede wszystkim będą mogły być ze swoimi rodzinami, a nie tak jak ja, tułać się po świecie.

Kiedyś marzyłam by studiowała medycynę, bo byłam pewna, że po takich studiach znajdą świetną pracę. Byłyby ustawione, przecież nie przez przypadek ludzie są lekarzami od pokoleń. One jednak nie chciały, mówiły, że to moje marzenia, że one się w takim zawodzie nie odnajdą. Teraz obie żałują.

Mąż jest konserwatorem w urzędzie, czyli takim panem "złotą rączką". Zarabia 1,6 tys. złotych. Ja przez 17 lat pracowałam jako asystentka w banku, ale dziesięć lat temu były zwolnienia i znalazłam się na bezrobotnym. By córki mogły studiować zdecydowałam się pojechać za granicę. Nie było wyjścia.

Starsza córka ma 30 lat, studiowała biologię w Katowicach. Ode mnie co miesiąc dostawała 600 złotych, musiała za to opłacić sobie akademik, dojazdy do domu i jedzenie. Osobno płaciłam na książki, kserówki, ubrania. To było kilkaset złotych rocznie. Po studiach pracy nie znalazła, ale skupiła się na robieniu doktoratu, z czego jestem bardzo dumna. Mieszka z chłopakiem, jakoś sobie radzi.

Za to młodsza, 25-letnia, choć też po studiach wciąż jest całkowicie na naszym utrzymaniu. Jak może dorabia, ale co to jest? Dlatego chce ze swoim chłopakiem za granicę jechać. Zrobiła licencjat ze stosunków międzynarodowych a potem w Opolu studia magisterskie z politologii. Liczyła na to, że potem będzie pracowała w administracji. Studiowała zaocznie, bo po liceum od razu trafił jej się staż w urzędzie. Więc na początku perspektywy miała świetne i zdecydowałyśmy się na studia zaoczne, choć były one kosztowne. Na licencjacie płaciłam 400 złotych miesięcznie, a za magisterskie ponad dwa tysiące co semestr. Nie jestem w stanie dziś policzyć ile wydawałyśmy na dojazdy i pomoce naukowe.

Wykształcenie dzieci było dla mnie finansowym wyzwaniem. Od lat nie kupuję sobie nowych rzeczy, donoszą stare ubrania. Od lat nie byłam u kosmetyczki czy fryzjera. Ostatnio wzięliśmy telewizor na raty, to kolejne 200 zł miesięcznie. Poza tym wszystkiego sobie z mężem odmawiamy. Bo choć pracuję za granicą, to potem z tego musi starczyć na życie w kraju przez miesiące.

Jednak nie o finanse tu chodzi. Nauka dzieci była kosztem mojego strachu przed obcym krajem, obcymi ludźmi, kosztem mojej rozłąki, tęsknoty, naszej rodziny i mojego małżeństwa. Nie mówiąc już o tym jak tęskniłam za dziećmi. Jestem wściekła, zła, rozczarowana. Nie ma w naszym kraju pomocy dla młodych. Nie dziwię się, że protestują. To jedyne co im zostało.

Czasem młodsza córka mówi, że szkoda, że nie została fryzjerką. Muszę jej przyznać rację. Koleżanka, posłała córkę na kurs, uskładała euro i kupiła jej zakład. Teraz ta dziewczyna zarabia, ma klientów i jest w lepszej sytuacji niż moje wykształcone dzieci. Ale ja wciąż wierzę, że sytuacja się zmieni. I nigdy nie żałowałam, że posłałam dzieci na studia. Jestem z córek dumna. Z pierwszej, która robi doktorat z biologii i z młodszej, że ma takie szerokie wykształcenie i doświadczenie, choć na razie nie ma szans na pracę.

## Rodzice polskich Oburzonych: My też mamy dość

Izabela Żbikowska 2012-01-11, „Gazeta Wyborcza”

Przez lata inwestowali w dzieci, często kosztem ciężkiej harówki, rozłąki i tęsknoty. Zdradzają: od lat nie byłam u kosmetyczki czy fryzjera, donoszę stare ubrania, marzę, by pojechać na urlop. Liczyli, że na starsze lata to dzieci będą podporą. A one ciągle są na ich garnuszku - fragment tekstu Izabeli Żbikowskiej, który ukaże się w czwartek w papierowym wydaniu "Dużego Formatu", reporterskiego dodatku do "Gazety Wyborczej"

**- Chciałam, żeby córki się uczyły. Młodsza żałuje, że nie została fryzjerką. Krew mnie zalewa, ale w duchu przyznaję jej rację - mówi Elżbieta (50 lat) z Gliwic**

Nie mam wykształcenia, kiedyś były inne czasy i nie było to takie ważne. Dlatego chciałam, by córki się uczyły. Myślałam: nie mam majątku, to chociaż dam im wykształcenie. Z dyplomem znajdą dobrą pracę i przede wszystkim będą mogły być ze swoimi rodzinami, a nie tak jak ja, tulać się po świecie.

Kiedyś marzyłam by studiowały medycynę czy stomatologię, bo byłam pewna, że po takich studiach znajdą świetną pracę. Byłyby ustawione, przecież nie przez przypadek ludzie są lekarzami od pokoleń. One jednak nie chciały, mówiły, że to moje marzenia, że one się w takim zawodzie nie odnajdą. Teraz obie żałują.

Mąż jest konserwatorem w urzędzie, czyli takim panem 'złotą rączką'. Zarabia 1,6 tys. złotych na rękę. Ja przez 17 lat pracowałam jako asystentka w małym oddziale bankowym, ale dziesięć lat temu były zwolnienia i znalazłam się na bezrobotnym. By córki mogły studiować zdecydowałam się pojechać za granicę. Nie było wyjścia. Same opłaty u nas to około 800 złotych miesięcznie nie licząc jedzenia. Studia dzieci też kosztowały.

Starsza córka ma 30 lat, studiowała biologię w Katowicach. Ode mnie co miesiąc dostawała 600 złotych, musiała za to opłacić sobie akademik, dojazdy do domu i jedzenie. Osobno płaciłam na książki, kserówki, ubrania. To było kilkaset złotych rocznie.

Po studiach pracy nie znalazła, ale skupiła się na robieniu doktoratu, z czego jestem bardzo dumna. Mieszka z chłopakiem, jakoś sobie radzi, bo korepetycji udziela. Trochę jej jeszcze pomagamy, trochę dają dziadkowie, niewielkie sumy 200-300 złotych miesięcznie.

Za to młodsza, 25-letnia, choć też po studiach wciąż jest całkowicie na naszym utrzymaniu. Jak może dorabia, nawet lody sprzedawała, ale co to jest? Dlatego chce ze swoim chłopakiem za granicę jechać. Zrobiła licencjat ze stosunków międzynarodowych a potem w Opolu już magisterskie z politologii. Liczyła na to, że potem będzie pracowała w administracji, w polityce.

Studiowała zaocznie, bo po szkole średniej od razu trafił jej się staż w biurze poselskim a potem w urzędzie. Więc na początku perspektywy miała świetne i zdecydowałyśmy się na studia zaoczne, choć były one kosztowne. Na licencjacie płaciłam w ratach 400 złotych miesięcznie, a za magisterskie ponad dwa tysiące co semestr. Nie jestem w stanie dziś policzyć ile wydawałyśmy na dojazdy i pomoce naukowe.

Wykształcenie dzieci było dla mnie finansowym wyzwaniem. Od lat nie kupuję sobie nowych rzeczy, donoszę stare ubrania. Od lat nie byłam u kosmetyczki czy fryzjera. Ostatnio wzięliśmy telewizor na raty, bo już stary się sypał, to kolejne 200 zł miesięcznie. Poza tym wszystkiego sobie z mężem odmawiamy. Bo choć pracuję za granicą, to potem z tego musi starczyć na życie w kraju przez miesiące.



Na początku pracowałam fizycznie przy zbieraniu pieczarek. To była dwunastogodzinna harówka. Koleżanka mnie namówiła, byśmy zajęły się opieką nad osobami starszymi w Niemczech. Nie było mi łatwo, bo nie znałam języka, ale ona miała kontakty i mnie wkręciła. Zarabiałam 800 euro, wtedy wychodziło trzy i pół tysiąca na rękę. Pracowałam na czarno. Tak było przez kilka lat: dwa miesiące w Niemczech, dwa w Polsce. Teraz pracuję legalnie, po odliczeniu dojazdów, ubezpieczenia itd. mam około tysiąca euro miesięcznie na rękę.

Jednak nie o finanse tu chodzi. Ich nauka była kosztem mojego strachu przed obcym krajem, obcymi ludźmi, kosztem mojej rozłąki, tęsknoty, naszej rodziny i mojego małżeństwa, bo choć jesteśmy wiele lat po ślubie, taka rozłąka nie była łatwa. Nie mówiąc już o tym jak tęskniłam za dziećmi.

Jestem wściekła, zła, rozczarowana. Nie ma w naszym kraju pomocy dla młodych. Nie dziwię się, że protestują. To jedyne co im zostało.

Czasem młodsza córka mówi, że szkoda, że nie została fryzjerką. Krew mnie zalewa, ale w duchu muszę jej przyznać rację. Koleżanka, która też dorabia na opiece w Niemczech, posłała córkę na kurs, uskładała euro i kupiła jej zakład. Teraz ta dziewczyna zarabia, ma klientów i jest w lepszej sytuacji niż moje wykształcone dzieci.

Ale ja wciąż wierzę, że sytuacja się zmieni. I nigdy nie żałowałam, że posłałam dzieci na studia. Jestem z córek dumna. Z pierwszej, która robi doktorat z biologii i z młodszej, że ma takie szerokie wykształcenie i doświadczenie, choć na razie nie ma szans na pracę.

## Młodzi bezrobotni chowają się na studiach

*Międzynarodowa Organizacja Pracy ostrzega: wysokie bezrobocie wśród młodych, bierność i niepewność zatrudnienia to problem cywilizacyjny*

Przez lata rodzice i nauczyciele mówili młodym: uczenie się, a będziecie mieć w życiu łatwiej. Bez problemu znajdziecie ciekawą i dobrze płatną pracę. Aż przyszedł kryzys, który według badaczy rynku pracy najbardziej doświadcza właśnie młodzież i kobiety.

Potwierdza to raport Międzynarodowej Organizacji Pracy "Globalne trendy w zatrudnianiu młodych 2011". Przez całą przedkryzysową dekadę liczba młodych bez pracy wolno rosła - rocznie o mniej niż 100 tys. osób. W 2007 r. na świecie bezrobotnych było 70,5 mln osób w wieku 15-24 lata. Dwa lata później nastąpiła eksplozja - pracy nie miało 75,8 mln młodych, najwięcej w historii.

W tym roku liczba ta spadnie o pół miliona, ale autorzy raportu nie są optymistami. Ci młodzi nie znajdują pracy, tylko "schowują się" przed bezrobociem na uczelniach albo w domach, na utrzymaniu rodziców. To zjawisko robi się powszechne głównie w bogatszych krajach. W Irlandii w 2007 r. pracy nie miał co dziesiąty młody człowiek. W minionym roku - co czwarty. Lecz gdyby uwzględnić tych "chowających się", odsetek bezrobotnych sięgnąłby ponad 46 proc.

Raport przestrzega : młodzi do końca życia będą nosić piętno bezrobocia. Zaszkozi im nie tylko brak pracy, ale też śmieciowe umowy i przedłużająca się bierność. W przyszłości będą mniej zarabiać, mniej angażować się społecznie, nie chodzić na wybory.

Polska nie jest wyjątkiem. Mamy 402 tys. zarejestrowanych bezrobotnych w wieku do 24 lat. Ilu jest "chowających się"? Nie wiadomo.

- Jeśli kogoś na to stać, to lepiej kontynuować naukę, a nie szukać pracy. Nie ma co tracić nerwów na szukanie igły w stogu siana. Lepiej w tym czasie podnosić kompetencje - mówi dr Joanna Tyrowicz, ekonomistka - Wejście na rynek pracy w okresie dekoniunktury oznacza, że do końca życia będę miał gorzej w porównaniu z kimś, kto jest dokładnie taki jak ja, ale rozpoczął pracę rok czy dwa wcześniej albo później.

Potwierdza to prof. Krystyna Szafraniec, socjolog- Emigracja już nie zdaje egzaminu, w innych krajach też są problemy. "Chowanie się" to jedna z pierwszych reakcji, gdy na rynku pracy pojawiają się trudności.

Z rządowego raportu "Młodzi 2011" wynika, że z rodzicami mieszka blisko 70 proc. osób do 25. roku życia. I jeśli nawet odsetek "gniazdowników" wśród trzydziestoletków plus zmniejsza się do 30 proc., to i tak jest wysoki.

Jak ograniczyć bezrobocie wśród młodzieży?

Najważniejsze są trwałe inwestycje w młodych, czyli w system edukacji i szkoleń. Warto wprowadzić ulgi podatkowe dla pracodawców zatrudniających ich. Niestety, nawołujemy do takich działań w chwili, gdy rządy mają bardzo ograniczone możliwości ich sfinansowania. Są inni, którzy mogą pomóc: organizacje pozarządowe, związki zawodowe i organizacje pracodawców - to one grają najważniejszą rolę w promowaniu zatrudnienia młodych.

Młodym zaleca, żeby mimo braku pracy byli aktywni - zajęli się wolontariatem, w coś się angażowali. - To brak zaangażowania wywołuje poczucie społecznego niezadowolenia i wykluczenia. Trudności w znalezieniu pracy rodzą frustracje. Zbiorowa frustracja młodych jest główną przyczyną protestów na świecie. Raport przestrzega: może być gorzej, jeśli rządy poważnie nie zajmą się problemem.

## Młodzi bezrobotni chowają się na studiach

Katarzyna Pawłowska-Salińska 2011-10-26, „Gazeta Wyborcza”

Międzynarodowa Organizacja Pracy ostrzega: wysokie bezrobocie wśród młodych, bierność i niepewność zatrudnienia to problem cywilizacyjny

Przez lata rodzice i nauczyciele mówili młodym: uczenie się, a będziecie mieć w życiu łatwiej. Bez problemu znajdziecie ciekawą i dobrze płatną pracę. Aż przyszedł kryzys, który według badaczy rynku pracy najbardziej doświadcza właśnie młodzież i kobiety.

Potwierdza to raport Międzynarodowej Organizacji Pracy "Globalne trendy w zatrudnianiu młodych 2011". Przez całą przedkryzysową dekadę liczba młodych bez pracy wolno rosła - rocznie o mniej niż 100 tys. osób. W 2007 r. na świecie bezrobotnych było 70,5 mln osób w wieku 15-24 lata. Dwa lata później nastąpiła eksplozja - pracy nie miało 75,8 mln młodych, najwięcej w historii.

W tym roku liczba ta spadnie o pół miliona, ale autorzy raportu nie są optymistami. Ci młodzi nie znajdą pracy, tylko "schowają się" przed bezrobociem na uczelniach albo w domach, na utrzymaniu rodziców. To zjawisko robi się powszechne głównie w bogatszych krajach. W Irlandii w 2007 r. pracy nie miał co dziesiąty młody człowiek. W minionym roku - co czwarty. Lecz gdyby uwzględnić tych "chowających się", odsetek bezrobotnych sięgnąłby ponad 46 proc.

MOP przestrzega w raporcie: młodzi do końca życia będą nosić piętno bezrobocia. Zaskodzi im nie tylko brak pracy, ale też śmieciowe umowy i przedłużająca się bierność. W przyszłości będą mniej zarabiać, mniej angażować się społecznie, nie chodzić na wybory.

23,7 proc. - tylu Polaków w wieku 15-24 lata nie miało w zeszłym roku pracy

Polska nie jest wyjątkiem. Pracy według MOP nie miało w zeszłym roku 23,7 proc. młodych osób. GUS podał wczoraj, że mamy 402 tys. 127 zarejestrowanych bezrobotnych w wieku do 24 lat. Ilu jest "chowających się"? Nie wiadomo.

- Jeśli kogoś na to stać, to lepiej kontynuować naukę, a nie szukać pracy. Nie ma co tracić nerwów na szukanie igły na pustyni, bo nawet nie w stogu siana. Lepiej w tym czasie podnosić kompetencje - mówi dr Joanna Tyrowicz, ekonomistka z UW. - Wejście na rynek pracy w okresie dekonjunktury oznacza, że do końca życia będę miał gorzej w porównaniu z kimś, kto jest dokładnie taki jak ja, ale rozpoczął pracę rok czy dwa wcześniej albo później.

Potwierdza to prof. Krystyna Szafraniec, socjolożka z UMK w Toruniu: - Emigracja już nie zdaje egzaminu, w innych krajach też są problemy. "Chowanie się" to jedna z pierwszych reakcji, gdy na rynku pracy pojawiają się trudności.

Z rządowego raportu "Młodzi 2011" przygotowanego przez prof. Szafraniec wynika, że z rodzicami mieszka blisko 70 proc. osób do 25. roku życia. I jeśli nawet odsetek "gniazdowników" wśród trzydziestolatków plus zmniejsza się do 30 proc., to i tak jej zdaniem jest wysoki.

Jak ograniczyć bezrobocie wśród młodzieży?

Sara Elder, autorka raportu MOP: - Najważniejsze są trwałe inwestycje w młodych, czyli w system edukacji i szkoleń. Warto wprowadzić ulgi podatkowe dla pracodawców zatrudniających ich. Niestety, nawołujemy do takich działań w chwili, gdy rządy mają bardzo ograniczone możliwości ich sfinansowania. Są inni, którzy mogą pomóc: organizacje pozarządowe, związki zawodowe i

organizacje pracodawców - to one grają najważniejszą rolę w promowaniu zatrudnienia młodych.

Młodym zaleca, żeby mimo braku pracy byli aktywni - zajęli się wolontariatem, w coś się zaangażowali.  
- To brak zaangażowania wywołuje poczucie społecznego niezadowolenia i wykluczenia - mówi.

Trudności w znalezieniu pracy rodzą frustracje. Zbiorowa frustracja młodych jest według MOP główną przyczyną protestów na świecie. Raport przestrzega: może być gorzej, jeśli rządy poważnie nie zajmą się problemem.